ROCZNIK XXXIII. Styczeń 1911. Nr. 1

Wychodzi we Lwowie każdego miesiąca. Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 2 k. 40 h. Dla nauczycieli członków Tow. i uczniów tylko 1 k. 40 h. z przesyłką 1 k. 64 h.

MIESIĘCZNIK
Galicyjskiego Towarzystwa
OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracja i ekspedycja we Lwowie ul. Grottgera 4. Wszystkie pisma wkładki i prenumeraty należy adresować do prezesa A. Mussila, ul. Karola Ludwika 7.

Organ galicyjskiego i krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt, zostającego pod protektoratem J. E. Leona hr. Pinińskiego. Czasopismo polecone dla szkó reskryptem c. k. Rady szkolnej krajowej we Lwowie z 30 listopada 1909 L. 35.255

Redaktor: Józef Białynia Chołodecki Lwów, ul. Sykstuska l. 62.
Redakcya otwarta w dnie powszednie od 2—3 popołudniu.

Upraszamy uprzejmie o jednanie członków dla Galic. Tow. ochrony zwierząt. Wkładka roczna 2 K. 40 h.; w zamian otrzymują członkowie rocznie 12 półtoraarkuszowych zeszytów „Miesięcznika“. Zapisywać się można u prezesa Adolfa Mussila ul. Karola Ludwika 7 I. p. u wiceprezesa Józefa Białyni Chołodeckiego ul. Sykstuska 62 I. p. (od 2—3 popoł.) i u sekret. Maryi Mazurkównej ul. Snopkowska 8 II. p.

Marja Mazurkówna.

W obronie idei.

Spotykają nas dość często zarzuty, że spieszymy z pomocą, ulgą i miłością w „Królestwo niemych“ — że opiekujemy się zwierzętami, zamiast zająć się nędzą i cierpieniem istot bliższych, to jest ludzi.

Zarzuty te podnoszone są przez ludzi bezkrytycznych, którzy nie zastanawiają się nad sprawą i nie starają się jej poznać. Wiele dałoby się o tem mówić i pisać. My podnosimy tylko pobieżnie dwie uwagi. Pierwsza: ludzie mają własne środki chronienia się przed niebezpieczeństwem — druga: od wieków sili się głowa ludzka na wymyślenie przepisów i ustaw chroniących ludzi przed ludźmi złymi — są więc ustawy cywilne, karne, przepisy policyjne etc.

Nie nad tem jednak obszerniej zamierzamy się dzisiaj zastanowić, ale nad inną sprawą. Oto my przestrzegając zasadę humanitarnego postępowania z zwierzętami, oddziaływujemy

pośrednio na stosunek ludzi do ludzi. Wiadomo, że małe dziecko nie mogąc dokuczać dziecku, bo je za to karzą, dokucza zwierzętom, a gdy dorośnie jest złym i bez serca człowiekiem. Pragniemy więc w pierwszej linji wpływać na młodzież, aby miast przytępiania w sobie boskiej iskry dobroci i przecudnej miłości, pielęgnowała w sercach uczucia ludzkości, szlachetnej, serdecznego współczucia i przedelikatnej litości, dla wszystkich choćby najmarniejszych stworzeń bożych, by stać się doskonałą. Bo doskonałym w odczuwaniu, rozumieniu i miłowaniu istot bratnich, a tem samem w pełni nazwy człowieka, nie może być nigdy ten, kto obojętnie, albo z nienawiścią oczy ku tworom świata zwierzęcego, jako niewolniczego i niedorównującego człowieczej królewskości, zwraca.

Jest bowiem na świecie moc istot ludzkich upośledzonych bądź na ciele, bądź na umyśle, różnorodnych kalek, jak ciemnych, głuchoniemych, dla których życie nieraz piekielną staje się męczarnią, w otoczeniu jednostek złych, dokuczliwych, bez serca i lepszych uczuć. A takimi są właśnie ludzie, którzy w dzieciństwie i młodości bez najmniejszego zastanowienia, nie oświecani i nie kierowani rozumnem wychowaniem, bez trwogi w duszy znęcali się nad zwierzętami, bagatelizowali je i przy każdej sposobności zaświadczali barbarzyńskiem, dzikiem postępowaniem, surowość i brzydotę swej wewnętrznej istoty.

Jakiejże więc przepięknej, błogosławionej w skutki nauki posłańcami i krzewicielami powinny być domy rodzinne, a następnie szkoły, gdzieby baczono na kształtowanie się w piersi dziecinnej, duszy przeczystej, jasnej, wzniosłej i czułej, kochającej każde istnienie ze świata cichych, niemych pracowników i towarzyszy naszych zwierząt, a temsamem i dopiero wówczas duszy prawdziwie oddanej i życzliwej bliźnim swoim — współczującej, delikatnej i miłującej opuszczonych, bo nierozumianych, nieszczęśliwych, bo wyszydzanych dotąd ludzi-kalek. Ludzie-kaleki należą właśnie do jednej i tej samej kategorji wszelkich istot i tworów nie mogących obronić się sami przeciw złości i dokuczaniu jednostek swawolnych a narażeni są, zwłaszcza po wsiach i zaułkach proletarjatu przedmiejskiego, na szykany i pośmiewisko.

Do tych biednych męczenników zaliczają się, oprócz wyżej wymienionych ślepych i głuchoniemych, których jest w sa-

mej Galicji około 12.000, także kretyni, mikrocefole, małogłowcy, matołki, małpoludy.

Ogólne jest naprzykład mniemanie, iż głuchoniemy już z natury odznacza się złośliwością, mściwością i innemi złemi skłonnościami. Nie można w zupełności zaprzeczyć temu twierdzeniu, lecz należy zastanowić się pierwej, co go po największej części powoduje do tak drażliwego usposobienia. Głuchoniemy, jak i każdy człowiek w ogólności, obdarzony jest uczuciem. Ma on przeto pragnienia swej duszy, życzenia i wolę, lecz jego żalu, tesknoty, pragnień, potrzeb życia i cierpień, nikt pojąć nie potrafi, gdyż usta jego zamknięte, nie mogą tego wymówić, a znaki których używa, są dla otaczających go nie zrozumiałe a czasami śmieszne. Dlatego też, gdy domaga się czegoś — nie otrzyma; pyta się o co — nie dostanie odpowiedzi lub też wprost przeciwną; okazuje znakami swą miłość, przywiązanie — nie odbiera wzajemności. Często się zdarza, że jest pośmiewiskiem i bezmyślną swawolą swych słyszących współtowarzyszy, którzy nieraz dopuszczają się najniegodziwszych wybryków, naigrawając się z nieszczęśliwego i bezbronnego kaleki. Cóż więc dziwnego, jeżeli ten nieszczęśliwy kaleka niezrozumiany w swoich uczuciach i potrzebach, odepchnięty, wyśmiany i sponiewierany w obejściu, czuje żal za niesprawiedliwość jaka go spotyka, gniewem się unosi, jest porywczy, mściwy i nienawidzi ludzi słyszących. Gdy dziecko głuchonieme otoczone będzie troskliwą opieką rodziców, gdy bracia, siostry i otaczające osoby z miłością obchodzić się z niem będą, to milszy, bardziej ludzki i uległy będzie jego charakter.

Jeśli zatem oddziałowujemy na ludzi aby szanowali zwierzęta — uczymy ich szanować i nie dokuczać i nie znęcać się nad najrozmaitszymi kalekami. My kształcimy więc humanitarnie i etycznie. Jak zaś nieszczęśliwymi są np. kretyni, poucza nas artykuł wyjęty z czasopism:

„**Małpoludy w Galicji.** W Haszczowie (pow. turecki) w Galicji żyje rodzina karczmarzy Józefa i Lai S., w której jest pięć dzieci małpoludów (mikrocefole, małogłowcy, matołki), ze znamionami wstecznego rozwoju. Rodzice, jak również najmłodsze z rodzeństwa w wieku 2 lat, są zupełnie prawidłowi, i w rodzinie, tak bliższej, jak dalszej, nie było dotąd wypadku takiego zwyrodnienia. Z sześciorga dzieci, 5 jest małpoludami. Oznaki zewnętrzne, znamionujące zwyrodnienie, są następujące:

wygląd małpi, wzrost mały, ręce niepomiernie długie, budowa ciała wątła, głowy małe, ruchy niezgrabne, oczy małe, włosy przeważnie jasne, szorstkie, szczecinowate. Ludzi się boją i na ich widok uciekają, chowają się do komina, lub pieca chlebowego i parskają jak młode kocięta zniesione ze strychu, lub innej kryjówki i po raz pierwsze znajdujące się między ludźmi. Nie mówią, lecz bełkoczą, głosem nie miłym, rozumieją jednak, co do nich rodzice mówią. Same niezdołają jeść, gdyż potraw nie rozróżniają i biorą do ust trawę i ziemię, dlatego trzeba je karmić. Łaknąc, wskazują jedzenie, jeżeli im jednak kęs z ust wypadnie, już go nie podniosą, chyba, że im go kto inny poda. Zadowolenie objawiają grymasem, podobnym do śmiechu, a głód i niezadowolenie płaczem, który jednak jest bardziej. podobny do skomlenia. Zwyrodnienie nie zwiększa się lecz pozostaje w pierwotnej mierze“.

Zanadto dobrze wiemy, jak ogromnemi cierpieniami trawioną jest ludzkość. Wiemy też, że dla ulżenia tej olbrzymiej, przepaścistej nędzy, trapiącej ze wszech miar człowieczeństwo czyni się już wiele. Lecz pokolenia jeszcze przejdą po nas i wysilać i poświęcać będą pracę swoją dla rozsłonecznienia doli nędzarzom bliźnim. Z całem jednak przekonaniem twierdzimy, że pracy tej wiele pójdzie na marne i skutki jej z takiem upragnieniem i tęsknotą wyczekiwane, opóźnią się o wiele — wiele lat, jeśli przewspaniały jej gmach na fundamentach miłości i współczucia także i dla świata zwierząt wznoszonym nie będzie. Powinniśmy przeto koniecznie wszelkich dokładać starań i z miłością rodzącą niezwykłe czyny, zapobiegać bólom i cierpieniom nietylko ludzkim, lecz wszelkich tworów ziemi, a szerzyć i rozsiewać po przesmutnym świecie pokój radość i współczucie. Dzieci i młodzież temi drogami przez życie prowadzić nam trzeba, niechaj wzrastają w zrozumieniu, że początek pracy nad wydobyciem ludzkości z nędzy, w tym kierunku rozpoczętym być musi. Kwestja zwierząt zatem jednem z pierwszych naszych zadań być powinna i być musi.

A wtedy nie będziemy potrzebowali stawać w obronie naszej tak wzniosłej a niedocenianej dziś należycie idei, lecz pierwszymi słowy witającymi przyjaciół naszych prac i myśli, garnących się ku nam chętnie i serdecznie, będzie ogólne błogosławieństwo, radość i pokój.

Józef Białynia Chołodecki.

Towarzystwo entomologów w Łodzi.

W Łodzi zawiązało się w r. 1910 Towarzystwo entomologów mające na celu pomagać swym członkom w zdobywaniu i rozpowszechnianiu wiadomości z dziedziny entomologii i w układaniu kolekcyi z okazów fauny krajowej, poleaktycznej i egzotycznej. Towarzystwo to rozpoczęło z dniem 15-go grudnia 1910 wydawnictwo czasopism p. t. „Entomolog polski“, chcąc w ten sposób zgrupować rozprószone siły krajowe, pracujące w powyższej dziedzinie a „Entomologja (od greckiego wyrazu „entomon — owad“) pisze w powyższym dzienniku Jan Czeraszkiewicz, jest to nauka o owadach, która jako część ogólnej nauki zoologji, obejmuje wszystkie te gałęzie wiedzy, jakie wchodzą w skład zoologji. Owady stanowią najliczniejszą gromadę państwa zwierzęcego, obejmującą prawie 4/5 wszystkich gatunków, znajdują się na całej kuli ziemskiej, są przeważnie lądowe, rzadziej słodko-wodne, bardzo nieliczne w morzach. W stanie skamieniałym mało się przechowały, głównie w bursztynie i jako odciski na łupku litograficznym, znane są jednak poczynając od formacji węglowej. Owady, ze względu na stykanie się z niemi na każdym prawie kropku, ze względu na rozmaitość kształtów i form, oraz ze względu na piękne i żywe barwy, stały się przedmiotem badań nie tylko specjalistów uczonych, lecz i amatorów kolekcjonistów, którzy studjują rozwój, życie i zwyczaje owadów, oraz opisują poszczególne ich gatunki. Drogą ciągłych badań i obserwacyj nad życiem i rozwojem owadów, doszli entomolodzy do ważnych odkryć np. pasożytnictwa i współżycia... Entomologja opierając się na przesłankach i wnioskach ściśle naukowych, zabezpiecza człowiekowi życie i mienie od szkodliwych owadów, dając do ręki broń i wskazuje sposoby walki ze szkodnikami“.

W wszystkich krajach Europy i Ameryki istnieją liczne i dobrze zorganizowane Towarzystwa entomologiczne stwierdzają dowodnie użyteczność tej nauki, to też witamy z radością Towarzystwo łódzkie i tegoż organ „Entomologa polskiego“ i zachęcamy członków G. T. O. Z. i sympatyków naszych do popierania celów Towarzystwa i tegoż organu.

Jadwiga Wodzińska.

Poznać, aby ukochać.

Lekcja przyrody! W jasnym obszernym pokoju siedzi przy stole kilkoro dzieci. Od tygodnia zapowiedziano im, że uczyć się będą o zwierzątkach, kwiatkach i kamieniach, oczekują więc niecierpliwie, wlepiając w nową nauczycielkę zaciekawione oczęta, jakie to piękne rzeczy opowie im ta młoda pani, o towarzyszu ich zabaw, czarniutkim Filusin, o figlarnej Kizi, o kwiateczkach zbieranych na łące.

Z ust nauczycielki padają pierwsze słowa... Co dadzą one tym tak chętnie do wiedzy otwierającym się główkom? Czy wiązkę nudnych i suchych szczegółów, obciążających tylko młodociany umysł? Czy powiększą jedynie zbiór wiadomości ulatujących z czasem bez śladu. Czy ta garsteczka wiedzy pozostanie w nich nakształt ciała bez ducha? Nie! Spodziewajmy się raczej, że słowa te otworzą przed duszą dziecięcą nowe widnokręgi, wskażą piękno wszechstworzenia w całym jego majestacie, nauczą, czem jest i być powinien człowiek, stojący na czele nieskończonego szeregu istnień, jak on ma cenić siły ducha swojego, a kochać świat cały.

Ucząc dziecko obowiązków jego względem ludzi — powinniśmy także nauką przyrody rozszerzyć pojęcie prawa miłości, mówiąc: kochaj wszystko, co z tobą żyje na świecie.

Aby ukochać przyrodę w całości i każdej cząsteczce, trzeba ją najpierw poznać. Dla profana o tyle jest ona zajmująca, o ile dostarcza miłych dla zmysłów wrażeń.

Weźmy przyrodnika, a chociażby nawet zwykłego miłośnlka i badacza natury. Ten odnajduje wielkie cuda tam, gdzie inni najmniej by się ich spodziewali. Dopatrzy piękna i duszy w martwym nawet przedmiocie, posiada jakoby talizman, za pomocą którego czuje i daje czucie, żyje i ożywia, dla niego niema rzeczy marnych: wszystko jest wielkością i potęgą. Z brudnej kałuży zaczerpnąwszy wody, godzinami śledzić może jej zawartość, opowie o tysięcy żyjących w niej istot, zrozumie rozgrywające się w niej i dyllei dramaty. Cóż dziwnego, że tak że inaczej patrzy na ludzkiego życia sprawy?

Poznać trzeba — aby ukochać! W ściślejszą z przyrodą wszedłszy zażyłość, dowiemy się jak blizkie i podobne naszym

są radości i bóle najdrobniejszych żyjątek, jak wiele, wiele mądrości czerpać możemy z żywej księgi otwartej przed nami. Uniżyć się nieraz trzeba w swej dumie, przekonawszy się, że tak mało zasługujemy na źle zużytkowany tytuł królów stworzenia — i szukać dróg prawdy przez pogardzane wskazywanej twory, większą nieraz obdarzone inteligencją i wrażliwością, niż my, co tak nieudolnie i nieszlachetnie im panujemy. Cuda dookoła — a powiedziećby o nas można: mają oczy, a nie widzą, mają uszy, a nie słyszą.

Gdy spojrzymy na tysiące ludzi znudzonych, niezadowolonych ze świata i z życia, żalących się na urojone nieraz niedole, ochota bierze zawołać: patrzcie na świat piękny, na życie bezustannie kipiące, na tajemnice czekające, by je odkryto i podziwiano. Tyle jest zapomnianych, nieznanych tworów — pracują, walczą i cierpią, jak my są piękne i zajmujące, a zostawione w zaniedbaniu przez tego, co je znać powinien, bo z ich żyje pracy.

Kto wżyje się w losy słabego zwierzęcia, kto pozna wewnętrzną pracę rośliny, kto zbada losy skały odwiecznej, ten uczuje wielką, potężną miłość dla całej przyrody, nie skrzywdzi żywej istoty — nie zdepcze lekkomyślnie lichego robaczka, nie zapomni o czekającej na kroplę wody roślince, uszanuje nawet tajemniczy spokój cichego kamienia. Czyż to wszystko cierpieć ma, dlatego, że człowiek źle używa swej władzy i przywłaszczył sobie moc poniewierania wszystkiem, co jest poza nim?

Poznać — aby ukochać. Ukochać — aby zostać kochanym. Jeżeli człowiek uczuje się czasem nieszczęśliwym wśród równych sobie, to ma możność zejść między maluczkie, a pogardzane istoty. Porównywując los swój z ich dolą, zrozumie jak wysoko jeszcze wraz z swem nieszczęściem nad niemi stoi.

Tadeusz Trzecieski.

Korespondencya.

Nowy Targ, 16/I. 1911 r.

Utworzenie filji G. T. O. Z. w Nowym Targu do skutku dojść nie może, ponieważ nikt tutaj zajmować się tem nie zechce. Jedynie gimnazjum, a raczej nasz profesor — natura-

lista, podał myśl założenia „Kółka opieki nad zwierzętami“, które to Kółko ma za zadanie pouczanie tut. mieszkańców — górali, jaką wyrządzają sobie szkodę dręczeniem i zabijaniem ptaków, poniekąd największych i najtańszych współpracowników rolnika.

Zadanie to wykonujemy w miarę sił i możności. Więc co niedzielę, któryś z członków odczytuje referat dla samego gimnazyum, a co drugą, dla szerszych Kół publiczności, dla której jako wstęp na salę, ustanowiliśmy dobrowolne datki, które przeznaczamy na Kółko.

Do tego Kółka należy całe gimnazyum, nie wyłączając Dyrektora i profesorów. Kółko posiada samorząd, a jego ciało prawodawcze znajduje się w klasie VI., ponieważ to jest najwyższa klasa, która uczy się naturalnej.

Chcąc się skuteczniej do ochrony ptaków przyczynić, zakładamy na drzewach gniazda, robimy w czasie mrozów żerowiska. Teraz prosiliśmy burmistrza, aby oddał nam pod opiekę miejski park, w którym zdążyliśmy założyć kilka gniazd i żerowisk.

Ponieważ, do referatów potrzebna nam jest dotycząca literatura, przeto mamy zamiar zakupić od Szan. Tow. poprzednie roczniki, n. p. z 1910, 1909, 1908, i jeszcze nawet starsze. Proszę mi przeto donieść czy owe roczniki są do nabycia i o ile są, w jakiej cenie.

Wreszcie — mam do Szanownego Towarzystwa prośbę. Mianowicie — proszę, o ile to jest możliwem, przyjąć nasze Kółko jako jednego członka i przysłać nam legitymację.

Następnie proszę podać nam adres do warszawskiego „Towarzystwa ochrony zwierząt“, ponieważ i stamtąd mamy zamiar zaprenumerować odpowiednie czasopismo.

(Powyższy list szczerego miłośnika przyrody, przytaczamy w dosłownem brzmieniu, jako wzór godny naśladowania. Młodzież, która ukocha przyrodę, otacza w późniejszem życiu gorącą miłością współbliźnich; zapisuje swe imię w szeregu zacnych i zasłużonych obywateli państwa. (P. r.).

Stefan Żeromski.

Pies kochał aż do śmierci.

Siostra siada na brzegu ławki: I o czem pan myśli?

Młodzieniec: Myślę siostro... Myślę o pewnym psie, nikczemnym na pierwszy rzut oka, który jednak najbardziej godnie nosił imię Orestesa.

Siostra: Zawsze o tym psie! Czemuż go pan zostawił, jadąc do nas?

Młodzieniec: Nie mogłem... Obiecywano zająć się nim troskliwie w miejscu mego pobytu, z tamtej strony Wisły. Gdy nadszedł dzień wyjazdu, przywiązany mocno był do budy, ale przegryzł postronek i dopędził furmankę. Daremnie go odpędzano. Warował na ziemi, znosił bez skomlenia razy i kopnięcia nogą. Przybyliśmy do komory celnej. Po załatwieniu formalności, wstąpiłem w czółno, żeby przeprawić się na drugą stronę Wisły. Psa zostawiłem. Zdawało się, że wróci za końmi, które mnie do granicy odwiozły. Zdawało się, że... Nie mogłem wziąć go ze sobą! Tak, nie mogłem. Byłem w takiem położeniu, że nie mogłem, aczkolwiek stanowił, oprócz duszy, jedyny mój majątek. Łódź zsuniętą z ławicy piasku, pochwycił nurt rzeki. Orestes siedział przez pewien czas na tem samem miejscu, zapewne oniemiały aż do furji na widok zdrady, którą miał przed oczyma. Począł szarpać ziemię pazurami, miotając ją zawzięcie, i wściekle wył. W pewnej chwili skoczył na prawo i co sił, co sił, co sił, co tchu w płucach, gnał, sądząc, że okrąży szeroką wodę. Straciłem go z oczu. Byłem na środku, gdym go ujrzał znowu. Zdawałoby się, że tylko rozjuszony jastrząb może tak lecieć po samej ziemi na skrzydłach, migając się wśród krzaków dla chwycenia w szpony przepiórki. Zdawałoby się, że tylko głodny lis mógłby tak ścigać rannego królika. Tymczasem on za miłością swoją... Byliśmy pod przeciwległym brzegiem, gdy wrócił się na miejsce, z którego łódź odeszła. Stał tam przez chwilę milczący, jakby skamieniał. Później jednym susem rzucił się w wodę z wysokiego brzegu. Widziałem i słyszałem, jak płynął, boleśnie szczekając. Prąd go znosił daleko. Daleko... Czarny łeb zanurzył się raz, zanurzył drugi raz, trzeci, wreszcie znikł na zawsze pod pędzącemi falami.

Pies kochał mnie aż do śmierci.

„Wiedza i praca“.

Elektryczne tępienie szczurów.

Szczury są nietylko szkodliwem stworzeniem z powodu zniszczenia jakie szerzą, ale również dla tego, że są one rozsadnikami rozmaitych chorób zakaźnych, zwłaszcza dżumy. One też najczęściej przyczyniają się do przewlekania tej zarazy z odległych okolic do rozmaitych portów, do których zawijają statki. To też w ostatnich latach wytoczono szczurom zaciętą walkę i podejmowano liczne próby tępienia ich, zwłaszcza na okrętach. Osiągnięto w tym kierunku bardzo pomyślne rezultaty, ale wszystkie stosowane dotąd metody miały też strony ujemne. I tak wykadzanie magazynów okrętowych kwasem siarkowym mogło łatwo powodowoć uszkodzenie znajdującego się tamże ładunku okrętowego; używanie gazu świetlnego groziło zatruciem i niebezpieczeństwem wybuchu i t. p. Żadna z metod nie była wolna od stron ujemnych i żadna też nie mogła znaleść ogólnego zastosowania.

Niedawno temu przedsięwzięto w charlottenburskich warsztatach elektrycznych interesujące próby z nowym aparatem do tępienia szczurów, pomysłu inżyniera wiedeńskiego Biederheima. W próbach uczestniczyli — ze względu na ważność tej sprawy — przedstawiciele marynarki i władz sanitarnych. Aparat, który służyć może również do tępienia innych stworzeń, okazał się bardzo praktycznym i niezawodnym. Zwierzę zostaje zwabione do wnętrza skrzynki światłem lub kawałkiem mięsa. Wchodząc zamyka ono prąd elektryczny i rażone nim ginie w przeciągu pół minuty. Przystęp do wnętrza jest zawsze swobodny, nawet gdy w aparacie znajduje się już kilka zabitych zwierząt. Do tępienia można używać każdego rodzaju prądu elektrycznego, wystarcza nawet mała baterja akumulatorów. Dzięki temu aparat może być wszędzie zastosowany, zarówno na okrętach, jak w fabrykach, składach, domach prywatnych i t. p. Próby wykazały, że działalność jest niezawodną, ani jedno zwierzę, które weszło do wnętrza, nie pozostało żywe. Aparat został już opatentowany we wszystkich państwach europejskich.

Stanisław Nowiński.

Zwierzęta

w podaniach, życiorysach, i pamiętnikach.

(Ciąg dalszy).

Zgromadzone stany obwołały Pepina królem Franków. Z polecenia papieża biskup moguncki Bonifacy, jako pierwszy biskup państwa, namaścił go olejem świętym, jako niegdyś Samuel Dawida na króla izraelskiego w miejsce odrzuconego Saula. Działo się to w r. 752 po nar. Chr.

Ale Pepin był małego wzrostu, jak Dawid syn Izajego. Ponieważ zaś ludzie zwykli sądzić podług tego, co widzą, przeto wielu dworaków szydziło skrycie z Pepina. Szeptali sobie do ucha, że Frankonia „mało“ zyskała, dostawszy „małego“ króla, że lepszy byłby taki, coby nieco wyżej głowę nosił.

Doszło to do wiadomości Pepina. Pewnego więc razu, gdy miał dużo gości u siebie, kazał wyprowadzić na dziedziniec nieposkromionego byka i wypuścić na niego jeszcze dzikszego lwa. Jednym susem rzucił się lew na byka i obalił go na ziemię. Ale byk bronił się dzielnie i wszczęła się zażarta walka: Wtem Pepin zwrócił się do dworaków:

— Niech tam który pójdzie i położy koniec tej szermierce; jeżeli nie można ich rozerwać, to trzeba lwu łeb uciąć. No dalej!

Nikt się nie ruszył; wszyscy oniemieli ze strachu. Po chwili jeden podniósł oczy i rzekł:

— Panie, gdzieżby człowiek ośmielił się uczynić coś takiego.

Król nic nie odpowiedział, lecz wstał z tronu i poszedł sam jeden na dziedziniec. Dobył miecza i ciął lwa tak potężnie że głowa odpadła, poczem włożywszy napowrót miecz w pochwę, odszedł równie spokojnie jak przyszedł i znowu zasiadł na tronie.

— Jak myślicie? odezwał się do dworaków; czy stać mię na to, żebym był waszym panem?

Poklękali przed nim i zapewniali go, że chyba szaleniec śmiałby o tem wątpić.

Od tej chwili nikt już nie poważył się szydzić z Pepina, a nawet wspomnieć o tem, że jest małego wzrostu.

Lwy w zwierzyńcu królewskim w Krakowie.

Ciekawą wzmiankę o zwierzyńcu królewskim w Krakowie i o lwach. które się tam także znajdowały podaje A. Pawiński w cennej pracy swojej: „Stefan Batory jako myśliwy“. Staraniem Stefana Batorego ożywił się i zaludnił zwierzyniec królewski w Krakowie. Istniał już wprawdzie zwierzyniec za ostatnich Jagiellonów, za Stefana jednak pomnożyły się żywe okazy piękniejszych zwierząt leśnych.

Już za Zygmunta Augusta wspominają rachunki wydatków dworskich pod r. 1569 o dwóch lwach, darowanych królowi przez książęcia Lignickiego. Późniejsze o trzynaście lat rejestra mieszczą w sobie wiadomość o wydatkach na złupienie lwa, czyli zdjęcie z niego skóry. Widocznie król zwierząt dokonał żywota. Prawdopodobnie był on jeszcze Zygmuntowski. Za Stefana zaś przybyły do zwierzyńca dwa inne okazy. Królowi, bawiącemu w Warszawie, ofiarował książę Słucki kilka lwów w darze. Z początkiem następującego roku sprowadzono je do Krakowa, a przywiózł je pod swoją opieką Włoch z Florencji, Dominik Pepi. Wspominają nadto rejestra o jakichś lwach, które umieszczono w klatkach na zamku Rabsztyńskim.

Następnie przybyły do Krakowa trzy wielbłądy, na których utrzymanie wyznaczono pewną kwotę pieniędzy. Jakiegoś wielbłąda sprowadził także i Tatar dla króla Stefana, ale zostawiono go w Gródku. Niedźwiedzi nie brakło również w zwierzyńcu krakowskim. Zbudowano nawet dla nich osobne, mocniejsze i trwalsze chlewki. Kiedy je do nowych komórek przepuszczano, zaszedł smutny wypadek, bo niedźwiedź cieślę obraził Trzeba było pieniędzmi wynagrodzić ból pokrzywdzonemu. Sprowadzono prócz tego jeszcze jedną parę niedźwiedzi z pod Tykocina, drogą wodną, na jakiejś tratwie czy wielkiej łodzi i zapłacono za ich przewiezienie 30 ówczesnych złotych polskich. Prawdopodobnie król Stefan dał także Krakowianom sposobność oglądania żubra z Białowieskiej puszczy, bo jednego kazał sobie król sprowadzić w r. 1583 z Grodna do Warszawy, zapewno w tym celu, żeby go dalej stąd wyprawić.

Lwica Alfreda Brehma.

Lwy w młodości schwytane, rozsądnie wychowywane, bywają bardzo łaskawe. Uznają w człowieku swojego opiekuna i przywiązują się do niego tem mocniej, im bardziej zajmuje

się nimi. „Trudno wyobrazić sobie przyjemniejsze stworzenie“ — piszę A. Brehm — „nad lwa obłaskawionego, który zapomniał swojej wolności, swojej krwiożerczości i oddał się całą duszą człowiekowi Pielęgnowałem taką lwicę przez dwa lata. Bachida, tak się nazywała, należała przedtem do Latifa Baszy, namiestnika egipskiego we wschodnim Sudanie i jeden z moich przyjaciół otrzymał ją od niego w podarunku. W nader krótkim czasie przyzwyczaiła się do mieszkania na naszym dziedzińcu, po którym zresztą mogła przechodzić się swobodnie. Później chodziła za mną jak pies, łasiła się mi przy każdej sposobnośei a o tyle tylko naprzykrzała się czasem, że niekiedy przychodziła jej ochota odwiedzić mię w nocy na posłaniu i budzić swojemi pieszczotami.

Już po kilku tygodniach pobytu u nas, przywłaszczyła sobie panowanie nad wszystkiemi zwierzętami, które trzymaliśmy na naszym dziedzińcu. Jednakże celem tego jej panowania było bawienie się towarzyszami, a nie wyrządzanie im przykrości. Dwa razy tylko dopuściła się występku: zagryzła małpę, a wkrótce potem barana, z którym przed chwilą igrała po przyjacielsku. W ogóle lubiła drażnić zwierzęta i płoszyła je rozmaitemi sposobami. Jedno tylko ze zwierząt naszych umiało ją poskramiać; był to marabu, który poznawszy narowy lwicy, tak ją przy każdej sposobności okładał swoim potężnym dzióbem, że zawsze musiała mu ustąpić, acz nieraz po długiej walce. Często zaczajała się Bachida na ziemi z oczyma wlepionemi w jednego z nas i rzucała się na upatrzoną osobę, jak kot na mysz, ale to tylko dla podrażnienia nas. W ogóle okazywała nam przywiązanie i szacunek. Fałszu nie było w niej wcale. Nawet gdy raz została ukarana, już w kilka minut później łasiła się mi z takiem samem przemileniem, jak przedtem. Gniew jej znikał w jednej chwili i pieszczotą można ją było natychmiast odobruchać.

W drodze z Chartum do Kairu, którą odbylismy Nilem, gdy statek płynął, była ciągle zamknięta w klatce, ale gdyśmy przybili do lądu, wypuszczaliśmy ją za każdym razem. Dostawszy się na ląd wybiegała się zawsze. jak swawolne źrebię i załatwiła się z potrzebą naturalną, tak bowiem lubiła czystość, że nigdy w klatce nie zrobiła nieporządku. Na tych popasach dopuściła się jednak kilku wybryków. Raz zadusiła jagnię wiejskie. Innym razem wzięła w obroty pacholę murzyńskie,

lecz na szczeście zdołałem je od niej uwolnić, w obec mnie bowiem nigdy nie była nieposłuszną. W Kairze chodziłem z nią po ulicach, wiodąc ją na smyczy, a gdyśmy płynęli z Aleksandryi do Tryestu, brałem ją codziennie na pokład, co współtowarzyszom podróży sprawiało zawsze wielką przyjemność. Zostawiłem ją w Berlinie i nie widziałem jej dwa lata. Gdym ją za bytnością w tem mieście odwiedził, poznała mię natychmiast".

Lew jeźdźcem.

Lew jest królem na pustyni,
chce on państwo swe obiegnąć.
Wtedy kroczy do laguny,
by w wysokiej trzcinie legnąć,
Gdzie gazelle i żyrafy
wodę piją co wieczora.
Tam się czai — drżącym liściem
szumi nad nim sykomora.

Późnym zmrokiem kędy światło
z Hotentotów chat wybłyska,
Gdy na szczytach gór zachodnich
słońca przygasną ogniska,
Kiedy drzewa pochowają
w sobie cienie swe olbrzymie,
Kiedy w krzakach antylopa
a przy zdroju gnu zadrzymie:

Patrz, jak wtedy przez pustynię
stąpa żyrafa wspaniale,
By ją z kurzu opłókały
mętne trzęsawiska fale.
A pragnąca, gdy przebiegnie
nagie Karaów obszary,
Klęcząc, wciąga długą szyją
męty z napełnionej czary.

Nagle drgnęło coś w sitowiu —
z dzikim rykiem lew czatowiec
Na jej ślizki grzbiet wyskoczył;
patrzcie! co to za wierzchowiec!

Czy z was który w życiu całem
posiadł piękniejsze czapraki
Na tą lśniącą szerść żyrafy,
którą dosiadł jeździec taki?

Po olbrzymim onym koniu,
grzywa jeźdźca się przewija,
W muszkuły długiego karku
jeździec chciwe zęby wbija.
A żyrafa z głuchym wrzaskiem,
nim z przestrachu zmysły zbierze,
Pierzcha — z lotu do wielbłąda,
z szerści podobna panterze.

Patrz! jak sadzi przez równinę,
blaskiem zbielona księżyca.
Z głębi głowy nieruchoma
wystąpiła jej źrenica.
Po jej szyi cętkowanej
czarna krew kroplami zbiega,
A biednego serca bicie,
w cichej puszczy się rozlega.

I podobny do obłoku
co wiódł blaskiem Israela,
Lub do ducha wielkiej puszczy
gdy się pląsem uwesela.
Podobny do wszej trąby
z morskiej wstającej przezroczy,
Taki słup żółtego piasku
wirem się za niemi toczy.

Ciękim skrzydłem sęp żchrypiący
ich biegowi towarzyszy,
Śladem ich hyena bieży,
gwałcicielka grobów ciszy.
I pantera co wyniszcza
Kafrowskie trzody rozbojem,
Spieszy drogą swego króla,
co znaczona krwią i znojem.

Na zlęknionych patrzy mocarz,
siędzący na żywym tronie,
Czerwienieją mu pazury
ząb połyska, oko płonie.
A żyrafa nieść go musi
póki tchu i siły stanie.
O! przeciw takiemu jeźdzcu
próżne wierzgi i skakanie.

Daleko na krańcu puszczy,
charcząc, żyrafa upada.
Przed trupem własnego konia
jeździec do uczty zasiada
A wschód nad Madagaskarem
jutrzenka spowija słońce...

Tak conocnie władca zwierząt
zbiega swego pzństwa końce.

Ferdynand Freiligroth
przekład Kornela Ujejskiego.

Na wóz ratunkowy złożyły: P. T. Helena Dyszkiewiczowa we Lwowie 10 K, Swiniarska w Kalnikowie 5 K 20 hal.

Na karmę dla ptaszków złożyła: P. T. Swiniarska z Kalnikowa 10 K.

Przystąpili do Towarzystwa: J. Ex. generał broni br. Albori Wiedeń, P. T. Feliksowa Bańkowska, Feliks Bańkowski, Sydonia Bardach, Stefania Boznańska, Dr. Jan Brzeski we Lwowie, Helena Daszkiewicz w Wiedniu, Dyrekcja Liceum żeńskiego p. Dittner, Wanda Frieser, Marja Gottesmann, Jadwiga Joszowicz, we Lwowie, „Koło ochrony zwierząt“ (gimnazjum) w Nowym Targu, ks. Franciszek Laskoś w Zarszynie, Witold Lis, Helena Müllerowa, Dr. Antoni Müller, Anna Niewęgłowska we Lwowie, Władysław Olchowski w Kulikowie, ks. Andrzej Prochnicki w Laszkach zawiązanych, Stefan Przybylski w Oleszycach, Repichowski Filip we Lwowie, Jan Sandurski w Kałuszu, Piotr Skobelski we Lwowie, Władysław Śliwiński w Podwołoczyskach, L. A. Smenda w Tyśmienicy, Dr. Józef Sochański, Róża Steinthal, Mikołaj Sywulak, Karol Tührmhofer, Adela Wurm i Dr. Albert Zipper we Lwowie.

Nakładem gal. Tow. ochr. zwierząt. -- Druk. i lit. Piller-Neumanna.